Nr. 23. Lwów, 1. grudnia 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Dzień 25 lutego poświęciłem na strzelanie ptaszków do kolekcyi, a następnie na ich preparowanie. Ponieważ w okolicy włóczył się wielki lew i pantera — zapewne ta sama, na którą hrabia zasiadał — więc zapragnąłem i ja sprobować raz jeszcze szczęścia z zasadzki. Zjadłszy wcześnie obiad, wziąłem ze sobą kilku ludzi i około 5-tej po południu udałem się na drugą stronę łąki, aby sobie porządną zeribę urządzić. Po drodze spotkałem disseńczyków, którzy z mięsem zabitego słonia powracali. Opowiedzieli nam, że postrzałka tropili przez półtora dnia, że tenże kilkakrotnie zalegał, lecz dojść go nie mogli.

Przybywszy na miejsce, zdumiony byłem, jak hrabia miał odwagę siedzieć w urządzonej dla siebie zeribie. Był to płotek z luźno porzuconych gałęzi, ledwie na metr wysoki i tak przejrzysty, że widocznem było, co się wewnątrz dzieje. Przytem wysunięto zeribę ku środkowi łąki, co samo przez się mogło budzić czujność w zwierzęciu.

Przy pomocy moich ludzi, oraz kilku disseńczyków przeniosłem zeribę pod ścianę dżungli, wybierając za podstawę bardzo gęsty i wysoki krzak, który jeszcze wzmocniłem kolczastemi gałęźmi, aby sobie doskonale tyły zabezpieczyć. Od frontu i z boku narzucano gęsto gałęzi blisko na 2 metry wysoko i tym sposobem urządziłem sobie rodzaj kolczastej fortecy, która jakkolwiek nie dawała absolutnej gwarancyi bezpieczeństwa, to jednak budziła większe zaufanie, aniżeli poprzednio robione zeriby. Koźlę przywiązałem o trzy kroki od wy-

lotu, dzięki czemu w razie ukazania się lwa, lub pantery strzelałbym *à bout portant.*

Miałem ze sobą sztucer hrabiego cal. 450 z lampą elektryczną i akumulatorem, oraz mannlichera, jako rezerwę. W zeribie zasiadł ze mną Mohamed.

Noc zeszła mi bez gwałtownych wrażeń. Od godziny 1-szej włóczyła się w pobliżu pantera, gdyż ryk jej wielokrotnie słyszeliśmy, lecz do zeriby nie przyszła. Widocznie nasycona mięsem osła, którego porwała przed dwoma dniami, nie mogła się odważyć na porwanie koźlęcia i tylko rykiem zwiastowała nam swe niezadowolenie. Lwa nie słyszałem, był jednak w pobliżu zeriby, bo dnia następnego spotkałem świeże jego tropy.

Natomiast od strony jeziorka, które zaczynało się kilkadziesiąt kroków od mej zeriby, dochodziły mnie przez noc całą dziwne i urozmaicone głosy. Był to czasami krzyk ptactwa, to znów grube chrząkanie phacocherów, lub pluskanie brodzących po wodzie zwierząt. Często powtarzał się jakby odgłos kijanki, której nasze praczki używają przy praniu bielizny. Mówiono mi, że to krokodyle uderzeniami ogona po wodzie głos ten powodują. Dwa razy doszedł mnie głos jakby przyciszonego trąbienia, a zapytywany Mohamed objaśnił mnie, że to słonie do wodopoju przyszły; lecz zarówno ludzie nasi w obozie, jak i disseńscy mieszkańcy, stanowczo temu dnia następnego zaprzeczyli.

O godzinie wpół do 5-tej przyszedł służący mój Ali wraz z kilku chłopakami i przyprowadził dla mnie osiołka, na którym wśród ciemnej jeszcze nocy powróciłem do obozu.

Następnego ranka, hrabia, korzystając ze stojącej u brzegu rządowej gayaasy, przeprowadził się na drugą stronę Nilu, aby tam trochę popolować. Wziął ze sobą wielbłąda z zapasem żywności i namiotem, a także kucharza Bohosa i kilku shikarich. Ja tymczasem, wraz ze Stefanem zrobiłem mniejszą wycieczkę myśliwską, z której powróciłem o 11-tej przed południem, zabiwszy pięknego koziołka mora (*Orbia montana*). Zjadłszy śniadanie i spreparowawszy główkę tej pięknej antylopki, wyszedłem po południu znów ze Stefanem, lecz spotykaliśmy tylko same pentarki, których Stefan zabił 6 sztuk do kuchni. Wieczorem, gdy zajęty byłem pisaniem dziennika, dano mi znać, że ludzie widzieli panterę o kilkadziesiąt kroków od obozu. Doszła mnie też dnia tego wiadomość, że ks. Arenberg obozuje w Riguebie.

Postanowionem było, że gdyby nocy tej słonie przyszły do wodopoju, to ja następnego ranka pójdę za nimi. Noc jednak zeszła spokojnie i rankiem dnia 2 lutego disseński Mohamed, któremu czaty powierzono, dał mi znać, że o słoniach nic nie słyszał. Wybrałem się przeto do dżungli na większą wyprawę, wziąwszy ze sobą wielbłąda i kilku ludzi. Stefan i tym razem towarzyszył mi. Spotykaliśmy wszędzie ślady aborufów i żyraf, lecz na samą zwierzynę nigdzie nie natrafiliśmy i o godzinie 2-giej wróciliśmy do obozu, nie dawszy ani jednego strzału.

Po południu nadciągnął hrabia z drugiego brzegu, przywożąc ze sobą głowę zabitego przez siebie, wspaniałego aborufa (*Hippotragus equinus*). Jest to wielka antylopa maści szaro-brunatnej, z czarną pręgą na grzbiecie. Na karku i kłębie ma dość długą grzywę, od której zapewne pochodzi jej nazwa łacińska (*equinus* — znaczy „koński“). Rogi zabitego egzemplarza mierzyły po łuku 28 cali angielskich, choć rekordowe dochodzą do trzydziestu kilku.

Oprócz tej antylopy widział hrabia na przeciwnym brzegu tetela (*Bubalis tora*), który jednak do strzału nie dopuścił. Tropy żyraf i bawołów spotykano tam w obfitości, a służący Assad przyniósł mi znalezione przez się pióro strusia, coby dowodziło, że znajdują się tu i te rzadkie ptaki.

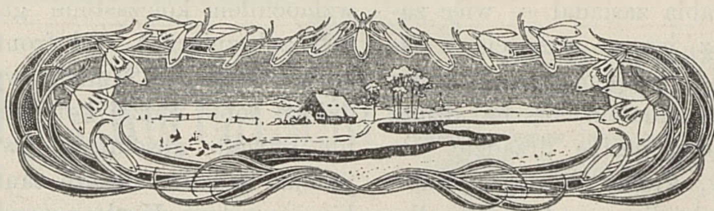
Z pierwszym brzaskiem dnia, w czwartek, 28 lutego, opuściliśmy Dissę po pięciodniowym pobycie, kierując się w pierwotnej drodze do Chartumu. Wyruszyliśmy przodem z łowcami, gdy karawana pod wodzą Szai pozostała za nami. Etap na dzień ten wyznaczony był tylko do Abkuku, gdzie mieliśmy jeszcze spróbować szczęścia na bawoły, gdyż poza Harunem już nic było żadnej szansy spotkania się z tą wspaniałą zwierzyną, o którą tak bardzo chodziło hrabiemu.

W połowie drogi między Dissą i Abkukiem dojeżdżaliśmy właśnie do samego brzegu Nilu, gdy idący obok mnie Fadil wskazał mi świeżutkie tropy bawołów. Dałem o tem znać hrabiemu, który po krótkiej naradzie zdecydował się iść za tropami w towarzystwie disseńskiego Mohameda, Hassabali i Fadila. Ja zaś udałem się do Abkuku, aby tam pod kierunkiem starego Ahmed Idrisa i Abdali, podobną wycieczkę uczynić.

Przybywszy na miejsce o 8-mej rano, pozostawiłem w obozie Stefana wraz z resztą ludzi, a sam wziąwszy tylko wspomnianych dwóch shikarich, udałem się do dżungli. Miałem ze sobą parodoks cal. 10 i mannlichera.

Poszliśmy zrazu łąką, wzdłuż brzegu dżungli. O wiorstę drogi od obozu, spotkaliśmy parę gazelek mora, które bez trudu dały się zejść na 100 kroków. Zapytany przezemnie Ahmed Idris, pozwolił mi do nich strzelać bez obawy spłoszenia bawołów, gdyby się te w sąsiedztwie znajdowały. Jakoż, wybrawszy większą z dwóch sztuk, strzeliłem i strzaskałem mej ofierze obie przednie nogi tuż przy piersi. Mimo tak strasznego okaleczenia, biedne stworzenie poczęło uciekać i skryło się w wysokich trawach dżunglowych, lecz obfita farba znaczyła wyraźnie szlak ucieczki i wkrótce biedna antylopka dostała się pod nóż moich shikarich, którzy ją szybko wypatroszyli i w gęstym krzaku ukryli. Ostrożność podobna jest niezbędną, gdyż w dżungli włóczą się ciągle miejscowi zbieracze gumy arabskiej, którzy na alarm, spowodowany strzałem, mogliby nadejść i zabitą sztukę sobie przywłaszczyć.

Ledwieśmy ruszyli z miejsca patroszenia gazelli, gdy łowcy moi wskazali mi świeżutkie ślady stada bawołów. Porzucone tu i owdzie plastry pomiotu były jeszcze ciepłe; stado musiało się znajdować bardzo blisko. Szło ono w rozsypkę, gdyż tropy zajmowały szlak szeroki. Abdallah i Ahmed Idris posuwali się naprzód równolegle do siebie, zachowując jak największe środki ostrożności; co chwila



jeden z nich nachylał się, brał w rękę ciepły jeszcze pomiot i pokazywał mi go znacząco. Jednocześnie obaj badali okolicę swym sokolim wzrokiem. Ja posuwałem się za nimi ostrożnie, wzruszony na myśl, że za chwilę ujrzę poraz pierwszy tego strasznego zwierza, na którego widok drżą najodważniejsi myśliwi. Jakoż chwila ta szybciej nadeszła, niż mogłem się tego spodziewać.

Nie upłynęło może 20 minut od chwili podjęcia tropu, gdy naraz Abdallah, który w tem miejscu szedł przodem, przypadł do ziemi; powtórzyłem momentalnie ruch jego, a za mną Ahmed Idris, od którego wziąłem ostrożnie cal. 10 i broń nabiłem *) Jednocześnie Abdalah, niosący mego mannlichera, dawał mi nieme znaki, abym mu w tej broni bezpiecznik zluzował, mając widocznie chęć strzelać także do bawołów. Żądaniu temu gwałtowną pantomimą odmówiłem, co mi wyszło na dobre, jak to zrozumiecie, gdy Wam następnie zdarzenie hrabiego opowiem.

Na głowie miałem bardzo jasny, prawie biały kapelusz, którego zawsze używałem w podróży, gdy na polowanie brałem inny, obszyty szaro-żółtawym materyałem *khaki*, doskonale dobranym do koloru dżungli. Nie chcąc jasnym hełmem płoszyć ostrożnych zwierząt, zdjąłem go z głowy i oddałem Ahmed Idrisowi. Była to z mej strony wielka nieostrożność, gdyż słońce mocno paliło i narażałem się tym sposobem na porażenie słoneczne. Lecz w podobnych chwilach rozwaga ustępuje miejsca namiętności myśliwskiej.

Gdy ukończyłem te przygotowania, Abdallah wstał ostrożnie, a ja za nim i we wskazanym mi kierunku ujrzałem w odległości 120 kroków czarne masy zwierząt: stado zbite było w kupę, lecz wśród wysokiej trawy widać tylko było grzbiety i rogi bawołów. Pochyliliśmy się znowu, aby bliżej podejść stado, lecz na nieszczęście wiatr był od nas. Ledwieśmy zrobili parę kroków, gdy bawoły kupą ruszyły; słychać było silny szum, jaki wśród suchej trawy czyniły. Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, stado znów się zatrzymało, nie zdając sobie widocznie sprawy, skąd im niebezpieczeństwo zagraża.

Jednocześnie obaj moi towarzysze podniecali mnie szeptem do strzelania. Jakkolwiek pozycya była trudna, bom nawet pojedynczych sztuk rozróżnić nie mógł, zdecydowałem się strzelać, z obawy, by dalsze próby podchodzenia nie pociągnęły za sobą ucieczki napłoszonych zwierząt. Wstałem więc ostrożnie i mierząc w kupę nieco poniżej linii grzbietów, wypaliłem z mej ręcznej armatki.

Po strzale zwierzęta ruszyły w popłochu, obłożyły nieco na lewo i znów stanęły, jakby w niepewności, tym jednak razem niedalej jak na 200 kroków. Arabowie zachęcali mnie ciągle do strzału, lecz ja, nie zważając na ich namowy, szybko zmieniłem wystrzelony nabój i czekałem dalszego biegu wypadków. Liczyłem, że gdy się zwierzęta uspokoją, będzie je można okrążyć i z dobrym wiatrem podejść.

Aliści stado nagle ruszyło i skierowało się wprost na nas. Była to chwila niezwykle krytyczna. To też obaj moi łowcy w mgnieniu oka pouczepiali się niższych gałęzi akacyj, krzycząc: „strzelaj, strzelaj!“ Ja stałem, nie wiedząc, czy to jest szarża, czy zwykły ruch przestraszonych zwierząt, które nie zdają sobie sprawy, skąd im grozi niebezpieczeństwo. W każdym razie narażony byłem na szwank, bo nawet w tym ostatnim wypadku zwierzęta mogły mnie pomimowoli stratować. Miałem obok siebie cienkie drzewko, które zaledwie mój ciężar unieśćby mogło.

Na szczęście stado, zrobiwszy ze sto kroków, skręciło nieco na prawo od pierwotnego kierunku i wypadło na zupełnie odkryte miejsce. Bawoły szły jak uragan i tak zbitą masą, że niektóre z nich, znajdujące się pośrodku, unosiły się niekiedy całymi przodami do góry, wyciśnięte z boków przez swych towarzyszy. Gdy się ze mną zrównały — a były wtedy o jakie 80 kroków — zmierzyłem w sam środek tej ciemnej lawiny i cyngiel ściągnąłem. Chciałem zaraz strzelić z drugiej lufy, lecz uczepiony za drzewo Abdallah w tem mi przeszkodził. Stado z hałasem zniknęło w wysokich trawach.

Pobiegliśmy na strzał i spostrzegliśmy w odległości 100 kroków szamocącą się w przedśmiertnych konwulsyach sztukę. Był to niewielki, może roczny byk. Unosił się na przodku, starając się podnieść i ryczał chwilami, więc też podbiegłem na dziesięć kroków; skróciłem jego męczarnie, wpakowawszy mu w kark kulę z mannlichera.

W tej chwili usłyszeliśmy szybko po sobie następujące dwa strzały. Widocznie hrabia szedł naszymi tropami i zetknął się ze stadem, do którego przed chwilą strzelałem.

Uszczęśliwiony zabiciem bawołu, poszedłem z mymi łowcami na pierwszy swój strzał, dany do stojącego jeszcze stada, lecz tu nawet farby nie znaleźliśmy. Jak przypuszczam, strzał ten musiałem zgórować.

Nakrywszy zabitą sztukę suchą trawą, aby ją ukryć przed wzrokiem ciekawych, ruszyliśmy do obozu, gdzieśmy około 10-tej godziny stanęli. Wkrótce po nas zjawił się wysłaniec hrabiego z rozkazem zabrania dwóch wielbłądów dla przywiezienia zabitej zwierzyny.

Gdy hrabia przybył do obozu dowiedziałem się, że tropy, podjęte przez niego, należały do tego samego stada, które mnie się zejść udało, i gdyby hrabia, zamiast iść niewolniczo za śladami, posłuchał własnego swego instynktu i poszedł dżunglą na przełaj, byłby jeszcze w porę mnie zdybał i w polowaniu wziął udział. Tymczasem Mohamed trzymał się ciągle tropów, które przed samym Abkukiem prowadziły znowu do rzeki, aby skręcić do dżungli w miejscu, gdzie moi łowcy je podjęli. W chwilę po moich strzałach hrabia usłyszał tentent zwierząt. W nadziei, że to bawoły, przykucnął do ziemi, lecz zawiódł się, gdyż było to stadko basmatów, z sześciu sztuk złożone. Dubletem dwie z nich trupem położył. Idąc dalej za tropem bawołów, znalazł moją zabitą sztukę, a nadto sprawdził, że druga jeszcze w stadzie farbowała, czego ani ja, ani ludzie moi nie spostrzegli. Trudno jest mi osądzić, którą kulą ta sztuka została ranioną, ponieważ jednak nie znalazłem farby na pierwszym strzale, więc przypuszczam, że

---

*) Unikaliśmy zawsze dawania nabitej broni naszym ludziom od chwili, gdy jeden z nich przez nieostrożność wystrzał spowodował. Tylko broń z bezpiecznikami nosili nabitą.

moja długa kula przeszyła na wylot — prawdopodobnie przez kiszki — jedną sztukę i zabiła drugą. Przypuszczenie to potwierdza się jeszcze okolicznością, że w zabitym byku pocisk nie wyszedł na drugą stronę, co jest faktem niezwykłym przy szalonej penetracyi paradoksów Hollanda.

(D. c. n.)

(*Łowiec polski*, *Sztolcman*).



O pudłach na tle nerwowości

i o różnych innych przygodach myśliwskich.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że oprócz doskonałej broni, starannie i odpowiednio sporządzonych nabojów, jakoteż i nadzwyczajnej wprawy, nabytej przez ciągłe ćwiczenie w strzelaniu, — składają się jeszcze i inne czynniki, które bądźto dodatnio, lub też ujemnie na celność i skuteczność strzałów naszych na polowaniach oddziaływują.

Każdy prawie myśliwy polujący dłuższy czas, mógł się przekonać, w jak niezwykły nieraz sposób zwierza chybiał: niekiedy raz po razu, czasem dzień cały nawet, nie ubiwszy przytem ani jednej sztuki.

Skąd to pochodzi i gdzie leżą właściwe przyczyny takiej anomalii? Szanowny autor artykułu „Nerwowość u myśliwych“ w „*Łowcu*“ Nr. 20, przypisuje to naszej nerwowości, czyli innemi słowy, psychicznemu nastrojowi danego osobnika, — i nie bez pewnej racyi.

Aby tę rzecz lepiej wytłumaczyć, musimy przedtem zastanowić się nieco bliżej nad znaczeniem psychologicznem, jakie w ogóle mają nerwy.

Otóż, jak wiadomo rozbiegają się nasze nerwy począwszy od skóry w najrozmaitszych kierunkach i częściach ciała i znachodzą swe wspólne ognisko w mózgu i stosie pacierzowym, które są zarazem składnikami centralnymi całego systemu.

Nerwy w organizmie ludzkim mają dwojakie zadanie: 1) pośredniczyć w kierunku działania muszkułów, 2) służą do odbierania wrażeń odniesionych zapomocą zmysłów, tj. wzroku, słuchu, smaku, czucia etc.

Odpowiednio więc do ich budowy anatomicznej rozróżniamy nerwy motoryczne czyli odśrodkowe t. j. takie, które pobudzają nasze muszkuły do kurczenia się, a tem samem wywierania za ich pomocą sił lub ruchy ciała — i nerwy t. z. czuciowe (*sensible*) przewodzące wrażenia odebrane z zewnątrz ku wnętrzu czyli dośrodkowe.

Do wszelkiej więc pracy, czy to fizycznej czy też umysłowej, potrzeba koniecznie, aby nerwy nasze były odpowiednio nastrojone t. j. nie były zbyt czułe ani też zbyt tępe. Stan nerwów i zdolność ich fungowania w jakimkolwiek bądź kierunku, nigdy nie jest i nie może być zawsze jednakowy, lecz zmienia się nieustannie pod wpływem najrozmaitszych okoliczności. Rodzaj, ilość pracy i pokarmu, przeciążenie umysłowe albo fizyczne, bezsenność, przestrach, smutek, radość, jak w ogóle wszelkie afekty, niemniej też wiek, temperatura, powietrze i t. p. wiele innych rzeczy, którym człowiek w ciągu życia swego w najrozmaitszy sposób podlega, wywołują już same przez się pewien nastrój nerwowy, i w miarę tego usposobiają nas do tej samej pracy w różnych porach i chwilach rozmaicie. W zwykłych warunkach nie odczuwa się wprawdzie tego, jednakowoż gdy wypadnie nam wykonać, jakąś większą, dokładniejszą pracę, różnice te w rezultacie wnet spostrzegamy. I tak n. p. wiemy z doświadczenia, że nie zawsze jest się jednakowo dysponowanym do napisania rzeczy o poważniejszej treści, lub do wygłoszenia mowy, a tak samo do gry w szachy, w bilard, do śpiewu, muzyki i t. p. Do pewnego stopnia można nawet wrażliwość naszych nerwów podporządkować naszej woli, lub pobudzić je sztucznymi sposobami; wprowadzić ze stanu spoczynku w stan irytacyi albo odwrotnie. Dotyczy to głównie niektórych zmysłów, wzroku, słuchu, czucia (akomodacya, znieczulenie). Mistrz jakikolwiek, potrafi się łatwiej opanować i wyjdzie z sztuką swą, choćby nie był dysponowanym, w oczach widzów po największej części zwycięsko, ale właśnie dlatego tylko, że jest mistrzem. Wie on sam jednak bardzo dobrze, że w wykonianiach swej sztuki miał chwile różne t. j. mniej i więcej szczęśliwe.

Zupełnie podobnie ma się rzecz i ze strzelaniem, które, gdy doprowadzone zostało do pewnej doskonałości, jest także w swoim rodzaju sztuką.

Myśliwy więc, chcąc dobrze strzelać, musi obok wprawy, mieć przedewszystkiem umysł swobodny i niezaprzątnięty ciężkiemi myślami. Główna jego uwaga skierowaną być winna na zwierza i najbliższe otoczenie. Oko i słuch winne być nieustannie wytężone, nerwy spokojne, nie ospałe, ciało krzepkie, zdrowe i silne, humor doskonały. Im więcej takich zalet posiada, tem strzały jego będą pewniejsze, tem mniej będzie chybiał.

Ale mimo to zdarzyć się mogą i u niego t. z. dni feralne. Zdenerwowany pod wpływem dnia lub pewnej chwili, nie dosłyszy może lekkiego szelestu zbliżającego się zwierza, oko dojrzy go gdy już za późno, ręka za szybkiem poruszeniem, o włos zboczy lufę od kierunkowej, palec zamiast statecznie i umiarkowanie pocisnąć cokolwieczek szarpnie cynglem, wszystko to jak wiadomo trwa momencik tylko i jeżeli ma dopisać, musi się odbyć harmonijnie, zapomocą cudownie urządzonego ustroju nerwowego, — a wówczas — już wystarczy, aby chybić zwierza.

Lecz niedość na tem. Po pudle następuje zazwyczas pewna irytacya; aparat nasz nerwowy zamiast się poprawić, pogarsza się. Pudłujemy więc jeszcze raz, drugi i trzeci, a dzieje się tak szczególnie wówczas, gdy pauzy między jednym, a drugim strzałem stosunkowo są krótkie i niemieliśmy wskutek tego dość czasu, aby się uspokoić.

Są myśliwi którzy twierdzą, że skoro pierwszy raz chybią zwierza na polowaniu, chybiać już będą przez caly dzień. O takich myśliwych można śmiało powiedzieć, że się zbyt irytują i są nerwowi.

Nerwowość więc jest główną przyczyną, że chybiamy nie tylko zwierza ale i błądzimy tak często w życiu. Nerwowość jest przyczyną, że się irytujemy i mart-

wimy. Nerwowość jest także przyczyną, że za szybko żyjemy, prędko się zużywamy i skracamy sobie żywot.

Stosunki społeczne, duch czasu, postęp, stawiają na każdem polu, coraz to większe wymogi w obec jednostek. Przeciążenie umysłowe, nadmierna praca, nieprawidłowe, niedostateczne i szkodliwe odżywianie się, palenie, narkotyzm, alkohol, życie wśród pary i elektryki etc. wywołują stan, który odbiegłszy od naturalnego sposobu życia, stwarza społeczeństwo coraz więcej nerwowo chorobliwe.

Nerwowość u ludzi wzmaga się nie tylko z wiekiem i czasem, ale opanowawszy wszystkie prawie sfery społeczne, wkrada się niestety coraz bardziej i w szeregi myśliwskie.

Mamy myśliwych, którzy się gwałtownie irytują i nie mogą dłuższy czas uspokoić, gdy n. p. młody pies legawy skoczy za ptakiem lub zającem, i okładają go za to niemiłosiernie prętem lub harapem; a widziałem i takich którzy bili psa swego wtedy zwykle, gdy chybiali. Są i myśliwi tracący natychmiast humor, skoro po pierwszych miotach nie przyjdą do strzału, wszystko krytykują i wszystko ich razi. A ileż to razy zdarza się na polowaniach, że myśliwy zbyt drażliwy nerwowo, nie może spokojnie ustać na stanowisku, lecz rusza się nieustannie, kręci co chwila papierosa, albo kaszle, zagląda to wprawo, to w lewo, nareszcie nie przypuści zwierza należycie na strzał, tylko pali w gąszcz na chybił trafił, psując tym sposobem całe polowanie.

A teraz kilka obrazków myśliwskich z własnego mego życia.

Jeszcze za bardzo młodych lat, polując z psem legawym na chruściele i przepiórki, gdy pierwszy raz w życiu ruszyłem zająca, opanowała mię taka pasya myśliwska i gorączka, że nie mogłem się nawet złożyć. Ręce i nogi mi drgały. Strzelba chwiała się na wszystkie boki. Palcem nie mogłem przycisnąć cyngla. Stan taki trwać musiał stosunkowo dość długo, bo gdy nareszcie wypaliłem, zając już był daleko. Począłem biedz nawet zanim i krzyczeć jak waryat i dopiero za chwilę oprzytomniałem.

Niemcy nazywają taki objaw „*Hasenfieber*". Określenie co prawda nie bardzo pochlebne ale wcale trafne. W podobny sposób choć już mniej gorączkowo wypuściłem później jeszcze kilka zajączków.

W kilka lat później polując już na dobre w kniejach, nie mogłem w żaden sposób, mimo doskonałego wzroku, jaki posiadam, odróżnić dłuższy czas łani od rogacza i jeżeli sztuka jaka na mnie wypadła, to byłem tak tem zalterowany, że sarna w oczach moich wyglądała jakby jakaś bezkształtna masa. Irytowało mię to niezmiernie, tak, że nieraz po nocach nie spałem. Jeden z tamtejszych leśniczych dowiedziawszy się o tem, podał mi między innymi następujący sposób: Jeżeli dwie lub więcej sztuk sarn idzie na pana, to pierwsza najbliższa jest koza, a drugi rogacz, trzecia koza a czwarty rogacz i t. d. Jako młody i całkiem niedoświadczony jeszcze myśliwy, uwierzyłem mu; on zaś jak się później pokazało, po prostu zadrwił sobie ze mnie.

Przypadek zrządził, że zaraz przy następnem polowaniu, w którymś miocie, walą na mnie prosto na sztych 4 sztuki sarn, a zoczywszy mnie, chwilkę stanęły, i nim się złożyłem, zrobiły zwrot i popędziły ku nagonce. Teraz nie było czasu się namyślać i licząc raz, dwa, do drugiej sztuki z tyłu wypaliłem. Sztuka padła wprawdzie w ogniu, ale koza! Gdybym był w takim samym porządku licząc strzelał, nim sarny się odwróciły, to byłbym może przypadkiem trafił na rogacza, bo często tak bywa, że łania prowadzi za sobą koźlę. Stosunek jednak zmienił się zupełnie z chwilą zwrotu, sarn a to na nieszczęście na moją niekorzyść.

Śmiano się też zemnie i kpiono nie mało, a oprócz tego musiałem nadto jeszcze połknąć niejedno gorzkie słówko ze strony p. zarządcy.

Podobny nieco wypadek zdarzył się zeszłego roku na polowaniu panu X. Idą 2 sztuki sarn. Sąsiad najbliższy Y., awizuje: drugi rogacz! lecz nim je X. spostrzegł, sarny odwróciły się. Pan X., palnął rzeczywiście do drugiej sztuki i zabił kozę.

Razu pewnego po polowaniu na błotach na kszyki, wracałem z wieczora do fury, aby się przebrać. Aż tu po drodze widzę, jak lis myszkuje na pobliskiem ściernisku. Na widok mykity, krew moja zawsze raźniej się odzywa, a że nie było innego sposobu podejścia go więc idę wprost ku niemu i zbliżywszy się na jakich 80 kroków palę. Lis odskoczył kilkadziesiąt kroków, patrzy na mnie i dalej sobie myszkuje. Zbliżam się znowu i strzelam raz, drugi i trzeci, tak samo. Nareszcie za dużo mu było tej pukaniny, podniósł kitę i popędził na drugą stronę drogi. Lecz jeszcze nie koniec na tem. Teraz przychodzi do mnie mój towarzysz i kolega, który mnie w powrocie do wózka był nieco wyprzedził i podczas, gdy się to działo, był zajęty przebieraniem się — i mówi, że lis ten sam za pagórkiem obok remizy dalej myszkuje. Radzimy więc, co robić z nim i po krótkim namyśle, siadamy obaj na furę, psy nasze umieszczamy z tyłu w półkoszku i podjeżdżamy...

Pozycye nasze na wozie były tego rodzaju, że ja miałem pilnować prawej, kolega zaś lewej strony pola, i odpowiednio do tego, ja albo on, do lisa najpierw strzelać. Podjechawszy w ten sposób lisa na jakich 90 do 100 kroków — na bliżej trudno było w dwójkę wytrzymać — palę do niego z wózka dwa razy, a zaraz to samo uczynił, pochyliwszy się przed tym nieco naprzód mój sąsiad. Lis oddalił się od nas co najwięcej 400 kroków, a że myszkował ciągle, nie chcieliśmy dać za wygrane, zwłaszcza, że przyszliśmy do przekonania, że to jakiś idyotycznie głupi albo chyba ślepy musi być lis, i umawiamy się teraz tak: że sąsiad pójdzie na lisa sam i będzie go pędził, ja zaś z furą wrócę, aby na wypadek, gdy nam zechce przeciąć drogę, zajechać mu w poprzek i strzelić. Taktyka ta w zasadzie była nie źle obmyślona, ale jak się pokazało nie odniosła pożądanego skutku. Lis bowiem po dwu strzałach oddanych przez kolegę, skręcił rzeczywiście w kierunku drogi, a ja widząc to, każę jechać co tylko koń wyskoczy, aby wczas jeszcze mu w tej ucieczce przeszkodzić, co mi się też tak dalece udało, że się spotkałem z nim na drodze nie dalej jak na 20 kroków. Strzeliłem znowu dwa razy i dopiero po tym dublecie lis oberwawszy coś za skórę, począł zmykać jak oparzony.

Zmrok już zapadł, lis przepadł, mimo, że strzelaliśmy do niego nie mniej nie więcej, tylko 11 razy!

Działo się to przed 18 laty na błotach dźwinogrodzkich, obok Staregosioła. Kolega, który był świadkiem tego polowania, żyje i jako członek „*Łowca*" fakt ten z pewnością sobie przypomni.

Szedłem raz za lisem postrzelonym, który się ledwie wlókł i zużyłem do niego wszystkie naboje, jakie miałem w torbie, a lis ten mimo to uszedł i nie mogłem go dostać.

Na wiosnę zeszłego roku, mówi mi dozorca, że widział w swoim oddziale czuwając na słonki, całkiem białego lisa, a że sądził, że to kupka śniegu więc nie strzelał. Na drugi dzień wybrałem się umyślnie w to miejsce i zasiadam. Obok mnie znajdowała się świerczyna sadzona w rzędy dość gęsta, a tuż za nią las liściasty rzadki. Po niejakiem czasie, widzę rzeczywiście, że lis biały, jak śnieg, zbliża się z lasu liściastego wolnym truchtem ku świerczynie, mija następnie kilka rzędów tejże i przychodzi na linijkę wąską, którą sobie wybrałem na cel. Strzelbę miałem przy twarzy i wszystko w pogotowiu, tylko pocisnąć, a jednak nie wystrzeliłem. Dlaczego? Do dziś dnia sam nie wiem. Zapewne wrażenie jakie na mnie sprawił swą białością, było tak silne, że w sam czas nie mogłem pocisnąć za cyngiel.

Przed kilku laty wybrałem się z wieczora na ciąg słonek w jesieni. Niebo było zupełnie czyste i wypogodzone. Pozycya, jaką na stanowisku zająłem była tego rodzaju, że na prawo, lewo i z tyłu, wznosił się las wysoki, przedstawiając tło ciemne, przedemną zaś, t. j. od zachodu, ścielił się wzdłuż młody i niski zapust. Mogłem więc w tym kierunku, tylko słonkę nadciągającą na sztych strzelać. Ciąg to był niezwykły i w swoim rodzaju jedyny, jaki w życiu pamiętam. Ledwie słońce zaszło, poczęły słonki przylatywać, w krótkich odstępach czasu, jedna po drugiej i to wprost ku mnie, lecz z tak błyskawiczną szybkością, że trudno się było do nich złożyć. Pierwszego wieczora strzelałem siedm, czy ośm razy, lecz nie zabiłem ani jednej. Drugiego dnia znowu tak samo, z tą tylko różnicą, że było nas dwóch i wypaliliśmy wszystkie naboje. Sąsiad mój zresztą wcale dobry strzelec, spluwał za każdym strzałem i klął od stu dyabłów i na trzeci dzień już na ciąg nie przyszedł, wyrzekłszy się słonek i polowania.

Przy najbliższej sposobności w towarzystwie kilku kolegów będąc, opowiedziałem im o tem. Śmieli się ze mnie i nie chcieli temu wierzyć, aby słonki wten sposób leciały, że ich trafić nie można. Obiecało się też kilku, przybyć na ciąg, by mi pokazać, jak się strzela.

I rzeczywiście, zaraz następnego wieczora, przyjechało do mnie czterech panów. Ustawiwszy wszystkich w prostej linii, niedaleko od siebie, sam zająłem nieco na wzgórku dawne swoje stanowisko, aby tem lepiej się przypatrzyć, co się teraz dziać będzie. Wieczór był śliczny. Pojawiły się i słonki, a za niemi jak grad strzały. Wszyscy strzelali bez wyjątku, lecz nie zabito ani jednej!

W dzień później udało mi przecież ubić jedną, potem drugą, a nareszcie trzecią, ale w jaki sposób? Prawie o metr cały mierzyłem naprzód. Każda z nich strzelaną była na sztych i padała pod same nogi.

Jak się pokazuje, ciągi słonek są różne, szczególnie w jesieni i zależy to zdaje mi się od pory i miejsca, w których na nie polujemy.

Są wieczory, jak to bywało z końcem września i początkiem października b. r. kiedy to słonki wylatują z lasu, spuszczają się na połoniny i pobliskie pastwiska, prawdopodobnie na żer, lotem swym niskim i stosunkowo powolnym, przypominają jakby lot nietoperzy. Wtedy nie tak trudno je trafić, skoro tylko niebo jest pogodne i nie zasłonięci jesteśmy ze wszech stron górami lub lasem. Najlepiej je widać od zachodu. Stosownie więc do tego wybierać należy miejsca dominujące t. j. na wywyższeniach. Ciągi te zaczynają się dość wcześnie i trwają z reguły bardzo krótko.

W końcu jeszcze jeden obrazek. Przed laty kilkunastu wybrałem się z szefem moim, znakomitym myśliwym i strzelcem z psami na przepiórki. Wysiadłszy z wózka, rozeszliśmy się, jeden w prawo, drugi w lewo. Przepiórek było mnóstwo, strzeliłem sam co najmniej 20 razy nie zabiwszy nic. Aż mię wstyd ogarnął i niewiedziałem, czy mam pokazać się mojemu szefowi z próżnymi trokami. Nareszcie schodzimy się i co widzę? Szef mój, który znany był w okolicy całej jako mistrz w strzelaniu, po kilkunastu strzałach oddanych również na przepiórki, ubił ledwie jedną. Przyczynę takiego fatum niemogliśmy sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko w ten sposób, że wicher był bardzo silny, a że w dodatku strzelaliśmy tylko Nr. 14 i to pod wiatr, więc śróty nasze po prostu, albo zwiane zostały, albo też wskutek silnego oporu wiatru w ciągu drogi tak dalece słabły, że nie działały. Był to więc dla nas prawdziwy dzień feralny. Przyczem nadmienić jeszcze muszę, że szef mój miał zawsze zwyczaj wypuszczać ptaka jak najdalej, robiąc mi nieraz za to wyrzuty, że za gorąco strzelam, psuję zwierzynę etc. I rzeczywiście. Ptak jakikolwiek przez niego strzelany wyglądał czyściutki jakby z pudełka i mógł iść śmiało do każdego muzeum na wypchanie.

Widzimy już z tego, że oprócz nerwowości naszej, może być jeszcze cały szereg innych czynników, bądźto lokalnej lub czysto przypadkowej natury, które gdy dziwnym zbiegiem okoliczności razem się złączą, stanowią w rezultacie to, co nazywamy dniem feralnym.

Zresztą każdy zwierz, czy to ptak, czy czworonożny, przedstawia na polowaniach co do ruchu swego zwrotów, pozycyi, otoczenia etc. tyle przeróżnych momentów odmiennych, że najwprawniejsze oko myśliwego nie potrafi ich zawsze w czas uchwycić, ani też przewidzieć. Wiemy n. p., że zupełnie inaczej trzeba strzelać do słonki, podczas ciągu, a inaczej gdy ją spłoszy nagonka, lub gdy się słonka poderwie przed psem w wysokiej zarośli. W pierwszym przypadku wymierzamy strzał, zwolna i statecznie kierując strzelbą, w drugim dzieje się to już o wiele raźniej, w trzecim decydować musi często strzał, skoro tylko łożem dotkniemy się twarzy. Przy nadzwyczaj szybkim locie, jak to się zdarza u niektórych ptaków, gdy są w pełnym ciągu i ruch ich wynosi nieraz kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt metrów na sekundę, trzeba koniecznie mierząc bodaj odrobineczkę przesuwać lufę naprzód, po za cel, szczególniej, gdy strzelać musimy z ukosa lub na t. zw. sztych. Wszystko



to zależeć będzie od naszej broni i wprawy, a nie da się opisać, a tem mniej jeszcze nauczyć z teoryi. A ileż to rzeczy jeszcze innych ukrywa się niespostrzeżenie i nie możemy ich dociec, ani też zbadać? A nareszcie czy każdy zwierz, który nam ujdzie, jest rzeczywiście chybiony?. Wiemy z doświadczenia, że często jeden śrócik mały, ugodziwszy zwierza w najdelikatniejszą część ciała, niekiedy już wystarcza, aby go obalić, gdy przeciwnie kilka lub kilkanaście innych, pozwalają mu ujść daleko. Na ostatniem tegorocznem polowaniu strzelałem n. p. do słonki, która mi przed nagonką wyszła bardzo dobrze. Słonka poszła, choć miałem to wewnętrze uczucie, że nie powinienem był jej chybić i tylko lot jej nieco zwolniony po strzale zdradzał, że coś jej się tam koniecznie dostać po skórze musiało. Sąsiad mój stojący opodal, zapytany, co się z nią dalej stało, twierdził jednak stanowczo, że poszła w górę i to całkiem zdrowo i byłaby z pewnością przepadła, gdyby nie to, że kazałem jeszcze raz powtórzyć miot chłopakom. Chłopcy przynieśli mi tę samą słonkę, jeszcze żywą. Końce sterówek miała przestrzelone. Z ziemi wzlecieć już nie mogła.

Albo taki wypadek. Jadąc strzeliłem z fury do kurnika na drzewie siedzącego, śrótem, czwórką. Kurnik po strzale zatoczył koło i w oddaleniu na kilkaset kroków padł na czystem polu. Niechcąc go dobijać wpakowałem z tyłu do wózka i każę jechać dalej, lecz jakbym coś przeczuwał, oglądam się po drodze ciągle, czy kurnik jeszcze siedzi, aż tu naraz widzę, jak kurnik mój leci i nim zdołałem drugi raz uchwycić strzelbę już był za daleko. Poszedł w las i do dziś dnia przepadł. Słonka strzelana leciała, jakby jej nic nie było, a zapadając już się nie mogła więcej poderwać z ziemi. Kurnik zaś padł po strzale i uciekł mi z wózka. Czy to nie dziwne?

Przypadków podobnych dałoby się zacytować więcej, niechcę jednak zbyt nużyć nimi szanownych czytelników.

Na polowaniach w ogóle oprócz dobrych i pięknych strzałów, zdarzać się muszą i dość liczne pudła, i właśnie ta rozmaitość w strzelaniu bawi nas i interesuje, bo gdybyśmy za każdym strzałem wszystko ubili, polowania nasze utraciłyby wnet większą część swego uroku.

R. Kesselring.



Kilka słów w sprawie wydania podręcznika łowieckiego.

Ubogą, bardzo ubogą, jest nasza literatura łowiecka, jeźli w ogóle o jej istnieniu mówić można. Sąsiedzi nasi z nad Odry i Dunaju, we wszystkiem dokładni i na tem polu poszczycić się mogą bardzo znaczym dorobkiem, każdego zwierza i ptaka, łowny on czy drapieżny, dokładnie na wszystkie boki obejrzeli zbadali i opisali, to też obecnie literatura łowiecka wcale nieostatnie miejsce zajmuje w niemieckiej bibliografii, a każdy autor znajduje chętnych wydawców i czytelników.

My niestety oprócz roczników „*Łowca*" i trochę belletrystyki łowieckiej, bo już i to tu policzę, żeby coś było, nic więcej nie posiadamy, żadnej książki ni książeczki, którąby nam w mniej lub więcej wyczerpujący sposób podała opis, zwyczaje i sposoby polowania na naszą zwierzynę i ptactwo.

Toteż ilekroć kto zechce wiadomości swoje praktyczne uzupełnić słowem pisanem, uciekać się musi najczęściej do niemieckich podręczników, z trudem wybierając najwięcej do naszych stosunków i warunków zbliżone. Ażeby choć w części brakowi temu zaradzić, przyszła mi myśl pewna, którą tu ośmielam się oddać pod rozwagę Szanownego Wydziału i fachowych czytelników.

Ażebym był dokładnie zrozumiany, muszę zacząć od początku i znowu uciec się do porównania z Niemcami.

Wiem dobrze na jakie trudności natrafia u nas wydanie jakiejkolwiek książki, a tembardziej illustrowanej i jeżeli chodzi o łowiectwo, jak doświadczonego na wszystkich polach trzebaby autora, któryby mógł stworzyć dzieło, odpowiadające celowi i wymaganiom. Takich autorów Bogu dzięki znalazłoby się u nas dosyć, ale przeszkodą nie do pokonania prawie jest, jeźli nie brak środków, to więcej czasu. Łowiectwo nasze nie stoi niżej, jako samo łowiectwo od niemieckiego, ale nie tworzy jeszcze tak znacznej gałęzi gospodarstwa i przemysłu krajowego, jak u Niemców. Pod tym względem panują u nich znacznie różne od naszych stosunki, które wyrobiły tam całkiem osobny, że tak powiem przemysł i stworzyły zawodowców, jakich u nas nie ma. Ludzie ci zajmując się tylko polowaniem i przemysłem myśliwskim i nic innego nie robiąc, rozporządzają nietylko wielkim zapasem wiadomości i doświadczenia na tem polu, ale też i dość mają czasu, ażeby móc dokładnie i wyczerpująco opracować podręcznik łowiecki, który im oprócz sławy autorskiej niezłe dochody przynosi. My nie mamy takich Dietzlów, Trainów ani Dombrowskich. Nie co do doświadczenia i wytrawności, broń Boże, tylko nie mamy ludzi, którzyby z tego jedyny cel życia zrobili i co za tem idzie, dostateczną rozporządzali ilością czasu. W tem zdaje mi się najłatwiej by można znaleść przyczynę tego ubóstwa naszego, ale i w tem tkwi właśnie myśl moja. Czego nie może zrobić jeden człowiek, zrobi się łatwo, jeźli więcej ludzi dobrej woli swe siły i pracę złączą dla stworzenia wspólnego dzieła.

Mamy w kraju dużo wytrawnych, doskonałych myśliwych, o tem wie każdy, a wiemy również wszyscy, że każdy z myśliwych jest specyalistą do czegoś, jeden do lisów, drugi do dzików, inny znowu do słonek, lub kszyków i t. d.

Otóż gdyby każdy z myśliwych zechciał poświęcić kilka wieczorów zimowych i kilka arkuszy papieru, w łatwy sposób doszlibyśmy do dziełka obejmującego wszystkie działy i gatunki zwierzyny i ptactwa, ich opis, życie, zwyczaje, miejsce pobytu, sposoby polowania, łowienia, względnie tępienia, słowem dzieła nie ustępującego niczem podobnym zagranicznym podręcznikom. Przy znacznej ilości współpracowników zdarzyćby się mogło, że znalazłoby się kilka prac o jednym ga-

tunku, w takim razie możnaby, albo wybrać najlepszą, albo z kilku eklektycznym sposobem jedną stworzyć, a mam nadzieję, że Szan. Wydział Tow. łow. z łatwością by znalazł kilku doświadczonych myśliwych, którzy dla dobrej sprawy chętnie by trochę czasu poświęcili, aby z nadsyłanych prac najlepsze wybrać i w całość połączyć. Przytem niejeden ze współpracowników spróbowawszy raz zdolności autorskich, możeby łatwiej później wziął się do pióra, choćby tylko w zakresie swej specyalności, a w ten sposób moglibyśmy nabyć nawet znaczny szereg cennych a bardzo pożądanych monografii myśliwskich. Może mi ktoś zarzucić, że wydawnictwo takie pociągnęłoby za sobą dużo trudów i znaczne koszta. Trudu zapewne trochę i pracy by to wymagało, ale zaledwie w setnej części tyle, ile by na to pracy i czasu poświęcić musiał jeden człowiek, co do kosztów zaś, to gdyby się wydawnictwa podjęło Towarzystwo, pewny jestem, że każdy z czytelników „*Łowca*“ zapisałby się chętnie na egzemplarz, a tak za jednym zamachem koszta był wróciły, a z reszty czy to we własnym zarządzie, czy w komisie księgarskim czysty dochód wpłynąłby do kasy Towarzystwa.

Oto plan, który do łaskawego i pobłażliwego rozważenia tak Szan. Wydziałowi Towarzystwa, jak wszystkim czytelnikom „*Łowca*“ podaję, jeżliby zaś chybiony był lub niewykonalny, niech mi wytłómaczeniem będzie, że chciałem jak najlepiej.

T. Gordaszewski.



Chyżość lotu u ptaków.

Nie tylko tak zazwyczaj zagadkowy dar oryentowania się u ptaków, lecz i chyżość, z którą dążą w wytkniętym kierunku ku zamierzonemu celowi — budzą w nas podziwienie a zarazem udaremniają wszelkie usiłowania, zmierzające do wytłumaczenia istoty tego daru.

Przyzwyczajanie do lotu gołębi, przy zastosowaniu właściwych środków dyscyplinarnych, zwłaszcza u gatunków odznaczających się niezwykłą chyżością, doprowadziło do znacznego zwiększenia tej chyżości.

Niektóre gołębie szybkością lotu przewyższają pośpieszny pociąg. Chyżość ta jest tak nadzwyczajna, że biorąc na uwagę nieraz bardzo znaczną, przez niektóre rodzaje tych ptaków przebytą przestrzeń, trudno pojąć, w jaki sposób mogły ją przebyć.

Jako przykład niech posłuży gołąb domowy, który przebył 600 mil angielskich w 15 godzinach i 42 minutach. Przytem stwierdzono, że gołąb ten wypoczywał w czasie lotu na kilku miejscach, tylko nie zdołano skonstatować, ile czasu na wypoczynki te zużył.

Jeszcze pomyślniejszy rekord odniosły dwa gołębie rosyjskiego gołębiego klubu w Odesie.

Klub ten doznający opieki rządu rosyjskiego, uprawia systematycznie próby na punkcie lotu gołębi i to na wielkie rozmiary, posiada etapy między Odessą a Konstantynopolem, ujściem Seliny, a Sebastopolem. Przy próbach, przedsięwziętych przez klub ten skonstatowano, że czas trwania lotu u gołębia zawisł wyłącznie od wiatru, z którym się ptak spotyka. Najwięcej uwagi zwracają na wiecznie sprzeczną kwestyę: czy gołąb zdoła chyżej lecieć z wiatrem, czy też przeciw niemu. W przecięciu liczą, że dobry gołąb pocztowy, mając przychylny wiatr, robi w godzinie 36 mil angielskich.

Chyżość ta jednak nie jest wcale nadzwyczajna w porównaniu z chyżością innych ptaków, a nieraz nawet możemy ją nazwać wprost nieznaczną. Wymieniony dopiero co klub w Odessie porobił dokładne próby co do szybkości lotu cyranki, która regularnie co rano i wieczór przelatywała z jednego cypla w morzu Czarnem na drugi, zawsze z jedną i tą samą niezmienioną chyżością. Na przebycie tej przestrzeni wody zużywała zawsze chyżość lotu, która odpowiada drodze 144 mil angielskich na godzinę. Jeżeli pod obliczenie to podporządkujemy wspomniony wyżej lot gołębi, to wykaże nam ono, że cyranka potrzebowałaby na przebycie 600 mil, tylko 4 godzin, podczas gdy gołąb potrzebował na samę odległość prawie 16 godzin. Gättke wymienia w swej statystyce kopciuszka, jako odznaczającą się nadzwyczajną chyżością lotu; słaba ta ptaszyna przebywa 180 mil angielskich w godzinie. Ptak ten leci bardzo wysoko nad ziemią i stąd wnosić należy, że właśnie górne warstwy powietrza ułatwiają mu szybkość lotu. Chyżości tej nie można, rozumie się, porównywać ze wspomnioną powyżej chyżością gołębi, a jeżeli jeszcze wspomnionym dwom ptakom sprzyjałby wiatr — to gołąb pocztowy wyglądałby przy nich wprost jak partacz. Spostrzeżenia wykazały niezbicie, że niektóre ptaki, jakkolwiek nie burzę, to przecież chwilę bodaj trochę przeciwnego wiatru wybierają przy rozpoczęciu lotu. A dokonują tego wyboru, bezwątpienia z tej przyczyny, że przeciwny wiatr ułatwia i przyspiesza lot. O prawdzie tego spostrzeżenia może się każdy przekonać, łatwo w czasie jesiennym, na morskich wybrzeżach. Nawet wrony i skowronki, mając przed sobą dłużej trwającą podróż, wybierają do odlotu wiatr przeciwny, widocznie w tym celu, aby przez to zyskać na sile.

Dlaczegoż korzyść ta wyświadczana lotowi przez wiatr przeciwny, nie miałaby również przypaść w udziele gołębiom pocztowym? Mylnem jest zatem wnioskowanie, na mocy którego przypisujemy nierówną chyżość, często u ptaków w czasie lotu obserwowaną, wpływowi przeciwnego wiatru. Wiatry gwałtowne wpływają bezwątpienia niekorzystnie na wytknięty kierunek lotu ptaków i zwracają je z obranej drogi, lecz w ogólności przyjąć należy, ze różnorodną szybkość lotu wypada raczej przypisać indywidualnej sile, wytrwałości i zręczności ptaka. Zdaje się, że bez względu na to, czy wicher dmie z chyżością 10 albo 20 kilometrów na godzinę, czy też panuje zupełna, bezwietrzna cisza, szybkość lotu ptaków nie podlega tym wpływom. Wiadomą jest rzeczą, że odbywając podróż balonem, nie uczuwamy wcale podmuchu wiatru, który go pcha i nim kieruje, lecz kołysamy się doznając uczucia bezwzględnego spokoju, gdyż balon odbywa spólny ruch z wia-

trom. W takich samych okolicznościach znajduje się ciągnący ptak, niesiony wiatrem, który spotrzebowuje tę samą siłę do zachowania tempa, co poruszająca się warstwa powietrza. Aby uzyskać szybsze tempo, potrzeba wytężyć więcej siły. To samo można powiedzieć o pływaku, który płynąc z prądem, chciałby uzyskać większą odeń chyżość. Przypuszczenie to napotyka wielu przeciwników i nie zgadza się ze spostrzeżeniami poczynionemi, gdyż, jak wyżej wspomnieliśmy, ptaki przelotne, chcąc jak najchyżej odlecieć, wyczekują właśnie przeciwnego wiatru.

Gättke, znany ornitolog, który przez szereg lat obserwował na Helgolandzie ciągnące ptaki, oświadczył się stanowczym przeciwnikiem rozpowszechnionych dawniej twierdzeń i wytknął sobie jako cel wykazanie, że ptaki do przebycia większych przestrzeni wodnych, potrzebują jeżeli już nie wprost przeciwnego, to w każdym razie bodaj w części niekorzystnego wiatru.

W obec tego wystąpił jako przeciwnik tych ornitologów, którzy są zwolennikami zapatrywania, że ptaki przelotne, mające przebyć większe przestrzenie, muszą ciągnąć z wiatrem.

Gättke poczynił bardzo drobiazgowe czynności przygotowawcze, aby módz zbadać jak najdokładniej szykość lotu jednego i tego samego ptaka, który ciągnąc ku Anglii, musiał przebyć północne morze. Jako przykład wybrał wronę, a więc ptaka o leniwym locie i odnośnie do niej umożliwił sobie w ten sposób ustalenie szybkości lotu. Ptak ten opuścił Helgoland c godzinie 8 rano, ciągnąc ku zachodowi, a przybył do Anglii o 11-tej godzinie przed południem. Środki przezorności, zarządzone ze względu na identyczność ptaka, nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, że tego samego ptaka, który odleciał z Helgolandu, obserwowano w trzy godziny później na wybrzeżu Anglii. Tak więc przebyła ta wrona prawie 1000 kilometrów w 3 godzinach. Lot odbywał się przy gwałtownym wichrze północno-zachodnim, a więc wprost przeciwnym. Przy wietrze południowo-wschodnim, a więc przychylnym, nie byłby ptak przebył — wedle Gättkego przestrzeni tej z równą chyżością, gdyż z tyłu, przez pióra ptaka dmący wiatr, wstrzymuje energię lotu. Gdy wedle tego spostrzeżenia tempo lotu ptaka wynosiło około 300 kilometrów na godzinę, chyżość zaś nawet gwałtownego wichru nie przenosi 100 kilometrów w godzinie, możemy utrzymywać, że nawet burza ciągnąca z południowego wschodu nie mogła wcale wpłynąć na chyżość lotu, bo szybkość jej pozostaje w tyle po za szybkością ptaka o dwie trzecie, a tem samen nie mogła na jego chyżość wywrzeć niekorzystnego wpływu. Zdaje się, że w tym wypadku nie spoczywa teorya Gättkego na uzasadnionych podstawach. Tempo obserwowanego ptaka jest zatem szybsze niż tempo wiatru. Stąd jednak wynikałoby tem samem, że ptak niepotrzebuje doznawać nieprzyjemnego uczucia, które sprawia wiejący od tyłu wiatr w upierzeniu, gdyż ptak może ujść przed tym wiatrem. Czy i o ile nadzwyczajna chyżość lotu zależy od ilości uderzeń skrzydłami, tego nie można na pewne oznaczyć. Miano obliczyć, że szybkolotny ptak wykonuje 200 takich uderzeń w przeciągu minuty.

Jeżeli tedy obserwowana przez Gättkego wrona, we wspomnionej jednostce czasu wykonała tyleż uderzeń skrzydłami, to aby oznaczoną przestrzeń przebyć w 3 godzinach, musiała po każdem uderzeniu zbliżyć się o 25 metrów do celu podróży. Czy to w rzeczy samej leży w zakresie możliwości, na to musi przyszłość dać odpowiedź. Gättke idzie jeszcze dalej utrzymując, że skowronek, bekas i niektóre odmiany słonek mogą przebyć w godzinie 336 kilometrów, co miał jak najdokładniej obserwować na Helgolandzie. Szybkość tę jednak osiągają tylko wówczas, gdy lecą przeciw silnemu wiatrowi. Wszystkie kwestye dotyczące świadczeń, jakie wiatry oddają lotowi, mają tyluż zwolenników, co przeciwników i niezaraz zostaną ostatecznie rozwiązane. Wedle pojęć przyrodzonych byłoby łatwiej zrozumiałem twierdzenie, że pomyślny wiatr raczej sprzyja lotowi ptaka, niż przeciwny i że przyczyny, dla której odlatujące ptaki wyczekują przeciwnego wiatru szukać należy nie w rzekomym jego wpływie dodatnim na lot, lecz zgoła w innych pobudkach. D. n.



Korespondencye.

Zarzecze-Halicz, 24 listopada 1901.

Korzystając z pozwolenia p. Aleksandra Romanowskiego, właściciela Temerowiec, nie mieszkającego stale tamże, poprosiłem 5 b. m. pięciu towarzyszy z pod znaku św. Huberta, aby zapolowali ze mną w lasach wspomnionego majątku. To małe, ale zato godne towarzystwo zabiło w przeciągu 4 i pół godzin 1 rogacza, 7 zajęcy, 3 lisy i 1 słonkę, co dosyć pochlebnie świadczy o stanie zwierzyny w okolicy Halicza.

Wiadomość o tem polowaniu zawdzięczają czytelnicy *„Łowca“* „kawałowi“, jaki wtedy wydarzył się podpisanemu: Strzeliłem do lisa na kroków nie więcej jak 40, bardzo prędko się przemykającego i ze zdziwieniem spostrzegłem, że nie został na miejscu, jakkolwiek dobrze mierzyłem. W miłej nadziei żyjąc, że jeszcze kiedyś razem się spotkamy, nie spodziewałem się, aby lis ten, aż do domu do mnie przyszedł. I przyszedł rzeczywiście, względnie przyniósł go uwiązanego na sznurku w 17 dni później, jakiś poczciwy włościanin, który idąc przez las spotkał lisa powoli chodzącego, bo tylko na jednej lewej przedniej nodze, trzy odstrzeliłem mu na owem polowaniu, znak to, że strzelałem go w skoku, gdy wszystkie cztery nogi miał razem złożone.

Dla pokazania tego chirurgiczno-myśliwskiego zdarzenia moim towarzyszom, chowałem lisa jeszcze parę dni, poczem kazałem go zabić.

Stanisław Macudziński.

Rafajłowa (ad Zielona), w październiku 1901.

Do rozległych tutejszych górskich kniei, przybył jak corocznie, w drugiej połowie września, na łowy na jelenie Jego Cesarska Wysokość arcyksiążę Otto, który od lat kilku polowanie w Rajfałowie dzierżawi.

Już od dwóch tygodni, jakby na powitanie dostojnego myśliwego roztoczyła się po żółkniejących stepach połonin, po stromych, czarnych borem świerkowym uboczach — prześliczna jesienna pogoda.

Słoneczne, wcale ze względu na łowy niepożądane gorące dni (+ dwadzieścia kilka C.) i gwiaździste nocy, jedyne źródło, rozlewające wesele w tym wiecznie zasępionym zakątku Karpat, zadecydowały o tegorocznem rykowisku, a w znacznej mierze i o wyniku polowania.

Przebieg był następujący.

Jeszcze do niedawna ciche ostępy i tajemnicze głębie leśne ożywiły się już mniej więcej od 12 września, później więc niż zazwyczaj.

Potężny poryk króla gór zmącił panujący spokój dając wyraz najpotężniejszym w naturze objawom życiowym.

Odosobnione z początku głosy mnożyły się i potężniały, aż ogólny ryk i stękanie osiągnęły punkt kulminacyjny około 26 września.

Rzecby można puste porębowiska i niedostępne ubocza zaludniły się. Rochmanny zwierz, przezorny i bojaźliwy, popadł w szał dorocznych zapust, nie dbając w zaślepieniu, że cywilizacya idzie wciąż naprzód z prochem bezdymnym i Mannlicherem i że cienka rurka sztućca może być zdradziecko skierowana w jego życiem tętniącą pierś.

W pogodne nocy ryczało po kilkadziesiąt potężnych gardzieli.

Z początkiem października ochota poczęła słabnąć.

Zupełnie według etykiety ucichła nasamprzód starszyzna. Snać pierwsza po dniach wesela poszła odprawiać niezasłużoną zazwyczaj pokutę.

Pijana tylko pierwszym szałem młódź nie dała za wygraną. Jeszcze do końca października słychać było tu i ówdzie rozmarzone głosy upartych chłystków.

Czyżby rzeczywiście uporem tylko można podbić serca płci drugiej?

Mimo tego wynik polowania nie okazuje się na liczbę bardzo dodatni.

Cztery pary choćby i rozłożystych karpackich wieńców, to rozkład na tutejsze stosunki może niezbyt obfity.

Wszak rafajłowski rewir łowiecki mierzy okrągło 19000 hektarów. Otoczony zaś ze wszystkich stron wysokimi grzbietami, tworzy zamknięty w sobie i ładnie arundowany kompleks. Olbrzymi ten obszar spada z brzegiem potoków (Domżyniec, Riczka, Rafajłowiec, Sałatruk) i środkowych pasem gór od węgierskiej granicy ku północy do punktu, gdzie ze zlewu tych potoków rodzi się Złota czyli Nadwórniańska Bystrzyca — wyrywająca się następnie szczerbiem pomiędzy trzonem Maksymca a stromym grzbietem Poleńskiego z lesistego zamknięcia.

Tu wilgotne łono dziewiczych jeszcze miejscami ostępów daje pokarm licznym krynicom i potokom leśnym, tu rozległy się gęsto obfitujące w wonną paszę polany i porębowiska, tu wreszcie w gęstwinach leśnych znaleść może szlachetny zwierz zaciszną ostoję.

Do tych przyrodzonych darów przychodzi jeszcze okrasa podawana w gęsto zakładanych lizawkach — a na zimową biedę, koszone latem wonne siano połonin.

Jeleń więc jest tu jakby u siebie w domu. I rzeczywiście mimo ustawicznie ciążącej plagi: przeciągających chmar wilków, stan jeleni jest zadowalniający.

Obrazu tego pięknego rewiru, który wskutek gorącej pieczy, może się stać w niedalekiej przyszłości jedną wielką ostoją, dopełnić jeszcze wypada rozrzuconemi po całym obszarze dwudziestu kilku schroniskami i całą siecią ścieżek, służących bądź do jazdy konnej, bądź też do podchodu (tak zwane czapasze).

Że zaś tylko kilka, choć bardzo silnych wieńców stanowi tegoroczne trofeum dostojnego myśliwego, to przyczyny tego szukać należy przedewszystkiem w niekorzystnym stanie powietrza w czasie bekowiska. W nocy rozbrzmiewały ubocza gór gęstem echem poryku, lecz z brzaskiem skwarnego dnia, gdy pora nastała do strzału, cichł zwierz znużony.

Dalszy powód leży w prawdziwie myśliwskiej naturze Jego Cesarskiej Wysokości arc. Ottona. Wybór „byków“ krasnych, uwieńczonych koroną; pewny dystans, wykluczający postrzał, a nadewszystko chęć zawdzięczenia zdobyczy literalnie własnej zręczności i trudom, nie przynoszą zwykle licznych, lecz tem milsze i wspanialsze trofea.

To też mimo tylu, w schroniskach wśród bezludnych ustroni spędzonych nocy, mimo całodziennych wypraw na górskim koniku i mimo wczesnych rannych podchodów pożegnał Jego Cesarska Wysokość z widocznem „do widzenia“ tę dziką i bujną krainę.

Dnia 9 października, po uroczystem nabożeństwie w miejscowej cerkiewce nastąpił odjazd, pierwszy raz z tych stron koleją leśną, łączącą wspaniałe zakłady dla przemysłu drzewnego w Nadwórnej z olbrzymimi lasami c. k. okręgów gospodarczych Zielona i Rafajłowa.

J. O.

Tarnów, 25 listopada 1901.

Ponieważ rzeka Dunajec dwa razy w lecie b. r. pokazała swoją potęgę i zalewając prawie doszczętnie najpiękniejsze i najbardziej do rozmnoży zwierzyny nadające się wikliny, posiadacze prawa polowania w tych stronach mogą tylko pisać nekrologi po wytopionych sarnach i szarakach. To też nie dziw, że nad Dunajcem położone terytorya myśliwskie pozbawione są zajęcy.

Obronną ręką wyszła z topieli drużyna zajęcza we wsi Wróblowice koło Zakliczyna, majątku administrowanym przez p. Aleksandra Wilczka, c. k. rotmistrza pułku ułanów w Kołomyi, który czasowo tu bawił.

Jakkolwiek nisko położone pola we Wróblowicach w lecie b. r. Dunajec zupełnie zalał, to jednak biedne szaraki ratowały się na najbliższe pagórki, to też na polowaniu urządzonem w tych dniach we Wróblowicach pod kierunkiem znanego Nimroda, p. Wilczka, stawiły się w ordynku do rozprawy — z ośmiu myśliwymi. Padło zajęcy 27, strzelonych w dwóch miotach w polach i 6 miotach w lesie. Sam gospodarz polowania nie reflektując na strzał, ale na kierownictwo po-

gonką położył dwa kozły. z których jeden chwalił się szczególnie pięknymi parostkami operlonymi od wierzchołka do nasady i w tył głowy skierowanymi. Drugi ubity przez p. Wilczka i trzeci przez jednego z gości strzelony miały również rożki, ale nie odznaczające się pięknością. Były to uparte kozły, skoro w końcu listopada jeszcze nie zrzuciły swej ozdoby.

Jakkolwiek las we Wróblowicach daje przytułek kilku rodzinom lisów, które opłacają prestacye swemi futrami — to jednak dzień 16 listopada 1901 był dla nich dniem szczęśliwym, bo tylko jeden mykita przedstawił się jednemu z myśliwych, który wprawdzie usiłował uczynić zamach na jego skórkę — ale św. Hubert osłania czasem opieką szkodnika, gdy myśliwy strzelbą źle pokieruje.

W lutym 1902 mają się odbyć poprawiny na same lisiury i jest nadzieja, że przy znakomitej rutynie łowieckiej p. Wilczka w kierowaniu polowaniem bez lisa do dworu nie wrócą.

Nie było to polowanie obfitujące w trofea ale bardzo pięknie urządzone i nader wesołe, zwłaszcza w dalszym ciągu we dworze. przy znakomicie nastrojonych humorach gospodarza i gości.

Narrans.

Łańcut, dnia 16. listopada 1901.

W dniach 11. 12 i 13-go b. m. polował Jego Ces. Wysokość arcyksiążę, Franciszek Ferdynand d' Este, w dobrach ordynacyi łańcuckiej na bażanty w jednej bażantarni Romanówka zwanej i w lasach rewir: Wydrze. Brzóza i Biedaczów, na lisy.

W bażantarni padło:

bażantów	1002	
zajęcy	4	
różnej innej zwierzyny	2 =	1008

W lasach:

lisów . . . . , . .	34	
zajęcy	32	
rogaczy	4	
słonka	1 =	71
	Razem sztuk	1078

Z tego arcyksiążę sam zastrzelił:

lisów	11
rogaczy	4
zajęcy	9
i bażantów z górą .	360 sztuk

W bażantarni polowano w 8 strzelb, zaś w lasach w 11 strzelb, — polowano w bażantarni podczas wielkiej burzy i śnieżycy, rezultat przeto o wiele mniejszy wypadł, niż się spodziewano.

Wł. Lewicki,
łowczy.



Kronika.

Komisya bibliograficzna krakowskiej akademii umiejętności proponuje nam podawanie, obok tytułu polskiego każdego oryginalnego artykułu, umieszczonego w „*Łowcu*“ — przekładu jego w języku francuskim, względnie w angielskim, łacińskim, niemieckim lub włoskim.

Tytuły te ułatwią komisyi ułożenie katalogu literatury naukowej polskiej, ponadto zaś pomogą uczonym zagranicznym po oryentowania się w pracach polskich autorów.

Komisya dodaje uwagę, że najbardziej kompetentnymi do przekładów są sami autorowie prac, z czem się zgadzamy. Podzielając słuszność zapatrywania komisyi, komunikujemy Szan. Współpracownikom „*Łowca*“ przesłaną nam propozycyę, z prośbą, by ewentualne przekłady tytułów na języki obce — jak najczytelniej podawać raczyli. Brakujące tłumaczenia tytułów uzupełni w danym razie Redakcya. Tegoroczny spis artykułów zostanie ułożony w duchu propozycyi Akademii,



Uprasza się wszystkich P. T. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładki za rok 1901 i poprzednie lata, by raczyli zaległości jak najrychlej nadesłać, gdyż w przeciwnym razie może z braku funduszów nastąpić zwłoka w wydawnictwie naszego pisma.

Administracya Łowca.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

DO SPRZEDANIA

Doszukujemy tropowca na dziki bardzo pewnego, nie goniącego nic prócz dzika. Oferty należy wnosić pod adresem: „Zarząd dóbr Żurawno“. Psa zapłaci się po dokładnem wypróbowaniu.

Dziczyznę, ptactwa, drób kupuje każdą ilość. Jan Borys Przemyśl.

Kupię ładną suczkę „Seterkę“ czarną z białem, półroczną z bardzo dobrej rasy Major Komornicki, Kamionka Strumiłowa.

Leśnik kawaler lat 22 obeznany z wszelką gałęzią leśnictwa, oraz i z tartakiem, poszukuje posady od 1 grudnia r. b. albo od 1 Stycznia 1902, najchętniej do nadlesnictwa za pomocnika. Łaskawe oferty nadsyłać Fr. Mozolewski, Balwendorf poczta Briessen.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.